

Niezwykła opowieść rycerza
pierwszej krucjaty do Ziemi Świętej

ŹRÓDŁO MAMERKUSA

Leszek Biały



LESZEK BIAŁY

ŹRÓDŁO MAMERKUSA

WYDAWNICTWO NOWY ŚWIAT
Warszawa 2009

Pisanie wielu ksiąg nie ma końca...
(Księga Kohelecia 12, 12-13)

I

Doszedłszy do wieku, w którym – jak mawiał mój Yusuf – zdrowie wystarczy mi za chorobę, chciałbym utrwalić na piśmie wszystko, co przypadło mi w udziale, zanim moje ciało stanie się pastwiskiem dla robaków, a sprawy, których byłem świadkiem, pokryje kurz niepamięci lub rdza przeinaczeń. A gdyby mi ktoś zarzucił, że i ja, chcąc ocalić przed żarłocznym czasem czyny i słowa ludzi, których dane mi było spotkać, nie zawsze spisuję je dość dokładnie, odpowiem, że po tylu latach czynię to ponieważ z konieczności, lecz staram się je odtwarzać najwierniej jak umiem, z nadzieją, że prawda nie dozna z tego powodu zbyt wielkiego gwałtu.

Podobno na starość stałem się serdeczny jak Abraham, łagodny jak Mojżesz, cierpliwy jak Hiob, pokorny jak Jeremiasz, a przecież ciągle się frasuję, czy ujrzę także to górne Jeruzalem, o którym powiadają, że wznosi się w niebie. Bo choć nigdy nie skłamał Ten, co je obiecał, istnieje wszak nie tylko ono i jego wieczne szczęście, ale także ogień nieugaszony, i robak, który nigdy nie śpi, i otchłań, i ciemność, i zgryzanie zębów, i nie mające kresu męczarnie.

Dlatego, zadowolony z tego, co mi подарowano, i pogodzony z tym, co mi odjęto, żałuję jedynie za moje grzechy i modłę się codziennie o to, aby, kiedy ogarną mnie bóle śmierci, kiedy moje serce stanie się jak wosk, kiedy moja cera nabierze barwy ołowiu, kiedy moja stygnąca ręka nie będzie już w stanie utrzymać ukochanego Krzyża i kiedy wreszcie stanę przed moim Panem i zadrzę na widok Jego majestatu, nie odrzucono mnie sprzed Jego oblicza i pozwolono mi zostać z Nim na zawsze. Oby, zgodnie ze słowami „przeszliśmy przez ogień i wodę, ale Ty nam zesłałeś wychnienie”¹, tym, którzy przeszli dla Niego przez to pierwsze, nie poskąpiono również tego drugiego, i oby nie uznano nas za plewy, które wiatr porywa z ziemi, ani za krople, co wypadły z dzbana.

*

Nie sposób wymknąć się z ręki Boga i uniknąć Jego dopustów. Przekonałem się o tym, kiedy po trzech latach wojaczki przyjrzałem się sobie w kawałku zdobycznego lustra i spostrzegłszy, jak bardzo przerzedziły się i posiwiały moje włosy, powziąłem stanowczy zamiar powrotu w rodzinne strony. Wprawdzie powietrze w moim kraju nie było tak świetliste, słońce nie tak palące, wino pijano w nim tylko od święta i to jedynie na księżęcym dworze, zaś nocą łatwiej było usłyszeć wilka niż cykadę, ale, po pierwsze, i tam toczono ciągle wojny, a po drugie – nawet gdyby jakimś cudem miało ich kiedyś zabraknąć – miałem w ojczyźnie splacheć ziemi odziedziczonej po przodkach, zaś ziemia ta, oddana na czas mojej nieobecności w zastaw klasztorowi, gdzie przebywała moja siostra, od dawna potrzebowała nie tyle pana, ile dziedzica. Patrząc w lustro, zrozumiałem, że czas już najwyższy wracać, poszukać w sąsiedztwie jakiejś gospodarnej panny i pomyśleć wreszcie o przedłużeniu rodu.

Do powrotu zachęcała mnie także miseria łupów, które nie były mi całkiem obojętne. Od trzech lat brałem udział w walkach o Hueskę, największe miasto jakie widziałem w życiu. Wraz z innymi wspinałem się i spadałem z jego potężnych murów, odpierałem niezliczone wypadły jego obrońców i przez połowę tego czasu sztywniałem z zimna, a przez drugą smażyłem się żywcem w mojej koczuldze.

Byłem dwukrotnie ranny i widziałem śmierć wielu dzielnych rycerzy, w tym samego króla Sancha Ramíreza, trafionego przez saraceńskiego kusznika w jedyne miejsce nieosłonięte żelazem – dokładnie pod pachę – kiedy uniósł na chwilę rękę, żeby nam pokazać, gdzie powinniśmy zaatakować. W dodatku, odkąd, zgodnie z prawdami sztuki wojennej spaliliśmy wszystkie pola, wycięliśmy wszystkie sady i zatruliśmy większość studzien w promieniu jednego dnia konnej jazdy, wielokrotnie cierpiałem głód i pragnienie, a przecież nadal byłem tak samo ubogi jak w dniu, kiedy zachwycony widokiem dziewięćdziesięciu dziewięciu wież Hueski postanowiłem przyłączyć się do obłężenia.

Jeśli nie liczyć paru pierścieni i trzech woreczków srebrnych monet pokrytych niezrozumiałymi zawijasami, po trzech latach zmagania i znojów miałem w sakwach tylko niewielki czarno-czerwony dywanik,

złoty rozpylacz do wody różanej ozdobiony wizerunkami jakichś zwierząt przypominających kozy, srebrny talerz w kształcie ryby, rzeźbiony róg do picia z kości słoniowej, sztylet nabijany turkusami oraz drobiazg, który podobał mi się najbardziej – zieloną, niemal przezroczystą szatę, trochę wprawdzie rozdartą i poplamioną krwią, ale za to przetykaną złotą nicią i lżejszą chyba od ptasiego pióra.

Zważywszy rzecz dokładnie, zapytałem mojego giermka Tito, czy pojedzie ze mną. Był to młody miejscowy chłopak, który po ucieczce z niewoli przystał do mnie na służbę za wikt i dziesięć dirhamów miesięcznie.

– A co z przysięgą, jaką złożyliśmy don Sanchowi, że nie odstąpimy od oblężenia, póki nie zdobędziemy miasta? – odparł bez entuzjazmu.

– Ja jej nie składałem – powiedziałem zgodnie z prawdą, jako że w dniu zaprzysiężenia byłem na pogrzebie przyjaciela w nieodległym Alquézar.

– Ja też nie – uśmiechnął się półgębkiem. – Ale i tak wolę Saracenów.

Wiedziałem, że niewierni porwali całą jego rodzinę, za co poprzysiągł mścić się do końca życia, toteż nie nalegałem, tylko przycisnąłem go mocno do serca, po czym dałem mu na pamiątkę talerz w kształcie ryby i poleciłem spakować moje rzeczy. Przepuszczając, że także na północy nie brakuje już świeżej trawy i zamierzałem wyruszyć w drogę następnego dnia. Najpierw do Composteli, żeby poprosić Świętego Jakuba o dobrą żonę i co najmniej jednego udanego syna, a potem, prosto jak strzelił, do domu.

Tymczasem znów się okazało, że na tym świecie nie da się niczego zaplanować.

Kiedy pod wieczór, jak co dzień, obchodziliśmy mury z oprawną w srebro skrzynią zawierającą relikwie Świętego Wiktoriana, spod więzy zwanej Alquibla wypadli zniecacka obrońcy i zaatakowali nas gwałtownie. W pierwszym starciu straciliśmy więcej ludzi niż przy niejednym szturmie i zostaliśmy przycięci do rzeki, toczącej przez większość roku bardzo mało wody, lecz teraz wezbranej po marcowych deszczach.

Tam to, położywszy trupem dwóch Maurów, zauważyłem kątem oka, że pośrodku nurtu, zanurzony do połowy w wodzie, objęta się o kamienie relikwiarz ze szczątkami Świętego, porzucony w popłochu przez zakonników. I byłby się ów skarb dostał niechybnie w ręce pogan, gdyby nie rycerz zwany El Latino – powszechnie nieulubiany w naszym obozie, bo nie uczestniczący nigdy w naszych biesiadach i pijatykach przy ognisku – który, stojąc krzepko na wielkim głazie wystającym z wody, ciął w głowę każdego Maura, jaki się doń zbliżył. Saraceni szli do niego z huków i ciskali weń włóczniami, ale on, choć wyglądał już całkiem jak Święty Sebastian, wciąż trwał na skale i bronił im przystępu do świętych relikwii.

Nie czekając, aż nadejdzie pomoc z drugiego brzegu, rzuciłem się natychmiast w wodę i z okrzykiem: „Panie, wytrwaj jeszcze trochę!”, ominałem łukiem atakujących, po czym dopłynąłem do starego mruka z boku. Kiedy jednak próbowałem wspiąć się na zajmowany przez niego głaz, El Latino odepchnął mnie nogą i zawołał:

– Gdzie mi się tu płaczesz, ciuro?! Już cię tu nie ma!

Ponieważ nauczone mnie znosić obelgi, ale nie pozwalać, żeby mi ktoś rozkazywał, nie dałem za wygraną i znów zacząłem wdrapywać się na kamień. A kiedy El Latino znowu próbował mnie z niego strącić, wczepiłem się w jego łydkę i niechcący pociągnąłem go za sobą w wodę, przy okazji ratując mu chyba życie. Saraceni jeszcze raz zasypali nas pociskami, nurt zakreślił nami i pchnął nas na skałę, i zaraz potem ujrzałem Raj Ziemi.

Miejsce to, położone daleko na Wschodzie, na wysokiej górze, gdzie nie sięgnęły wody Potopu, było rozległą równiną opasaną murem ze szczerzego złota i pierścieniem ognia. Tryskało w nim cudowne Źródło dające początek czterem rzekom, a zwąły się one, jak ktoś mi zaraz odpowiedział: Pizon, Gichon, Chiddekel i Perat. Ich wody niosły ze sobą gałęzie drzew oliwnych, cyprysów, imbiru, goździków, mirtu i aloesu, naręcza różnobarwnych kwiatów i żywe ptaki w gniazdach – jedne białe jak śnieg, inne czerwone jak karbunkul albo zielone jak trawa, jeszcze inne błękitne jak niebo – a także mnóstwo owoców, które obojętnie jak przekrojone, zawsze podsuwają oczom zbawczy znak Krzyża.

Powietrze w tym miejscu było niezwykle przejrzyste i panowała tam bardzo przyjemna ciepłota. Ponieważ w Raju nie istniały pory roku, nie znano tam także śniegu, burz, gradu, gwałtownych wichrów, zimowych mrozów, wiosennych roztopów, letnich upałów ani jesiennej słoty. Nie było tam również węży, szczurów, żab, much, komarów i jadowitych pająków. Za to wszędzie widziało się rozmaite drzewa i kwiaty, których nikt nigdy nie siał ani nie sadził. Drzewa rosły przynajmniej tak wysoko jak nasze topole i codziennie rodziły inne owoce o wybornym smaku. Nigdy nie więdnące kwiaty zachwycały barwami i upajały swą wonią, zaś moje ulubione róże w ogóle nie miały kolców. Pomiędzy drzewami, na bujnych łąkach, pasły się wolne od

strachu jelenie i jednorożce, podczas gdy ich nowo narodzone potomstwo ssało z ufnością mleko niedźwiedzicy. Pies żył tam w przyjaźni z kotem, wilk leżał obok koźlęcia, zaś lew piastował w łapach niewinne jagniątko.

Jak daleko mogłem sięgnąć okiem, żyzna ziemia skrzyła się bryłami złota i srebra oraz mnóstwem szlachetnych kamieni – diamentów, szmaragdów, rubinów, jaspisów, agatów, topazów, beryłów i ametystów – ale najpiękniejsze było to, że w tym cudownym przybytku nie znano w ogóle śmierci, chorób, starości, zbrodni, sprostności, zdrady ani smutku, i że każdy, kto czegoś potrzebował, dostawał to zaraz za darmo. Toteż wszyscy mieszkający tam święci, męczennicy i dusze sprawiedliwe – wśród których, jak zauważyłem, rej wodzili Adam i Ewa oraz Henoch i Elias, a zwłaszcza Święty Dyzmas, Dobry Łotr, dzięki któremu, po czterech tysiącach lat zamknięcia na glucho, wrota Raju otworzyły się dla nas ponownie – wyglądali na niezmiernie zadowolonych. W oczekiwaniu na wskrzeszenie ciał i ostateczne wstąpienie do Królestwa Niebieskiego jedni modlili się, drudzy odpoczywali, inni przechadzali się bez celu, jeszcze inni śpiewali w chórze albo wiedli skoczne tany na wiecznie zielonej murawie, zaś słodkie dźwięki towarzyszącej temu muzyki niesły się szeroko po całym Domu Światłości.

Niestety, ledwie zdążyłem uprosić kilkoro z obecnych, żeby zechcieli pomodlić się także za mnie i za mojego jeszcze nie spłodzonego, ale już umiłowanego syna, kiedy niespodziewanie przyszło mi wrócić na ziemię.

Tu okazało się, że zostałem uratowany i – w nagrodę za męstwo, z jakim stanąłem w obronie Świętego Wiktoriana – umieszczono mnie razem z El Latino w tej samej celi pobliskiego opactwa kanoników regularnych w Montearagón, służącego za lazaret tylko wielkim panom. Kiedy przyszedłem do siebie, stary wojak, podziurawiony jak rzeszoto, leżał wciąż bez czucia niczym kłoda, zaś przy mojej przycy siedział mój giermek Tito.

– Chwała Bogu w Trójcy Jedynemu! – wykrzyknął widząc, że otwieram oczy. – Nareszcie! Jak się czujesz, panie?

– Przed chwilą czułem się znacznie lepiej – stwierdziłem zgodnie z prawdą. – Czy to ty mnie wyłowiliś?

– Między innymi – przytaknął, lecz wydał mi się czegoś markotny.

– Co ci jest? – zapytałem. – Czyżbyś tego żałował?

– Boże uchwaj, tylko kiedy cię ratowaliśmy, ktoś... ukradł jedną z twoich sakw – poinformował ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Nie może być! – jęknąłem. – Którą?

– Tę z rozpylaczem i rogami – opuścił głowę jeszcze niżej.

Podwałem się z przycy, ale z bólu zaraz opadłem na nią z powrotem, toteż wycedziłem tylko przez zęby:

– Choć jestem pewny, że człowiek sprawiedliwy posiada skarby całej ziemi, chciałbym wiedzieć, który skurwysyn to zrobił?!

– Jeśli go znajde, poderżnę mu gardło – obiecał ponuro Tito.

Kiwnąłem głową na znak zgody, po czym zapytałem zrezygnowany:

– A co z resztą? Jak Święty?

– Dzięki Bogu, bezpieczny. A twoje rzeczy oddałem na przechowanie opatowi.

– I dobrze uczynił – pochwalilem go. – Zaopiekuj się jeszcze końmi, zapłacę.

– Zrobię to za darmo. Byleś wyzdrowiał, panie.

– Dziękuję. Tylko przepędź je czasem po polu, żeby mi się nie zapasły jak smoki – poprosiłem go na pożegnanie.

Poniesiona strata doskwierała mi znacznie bardziej niż rany, jakie mi zadano. Z początku myślałem bowiem, że oprócz złamanej i włożonej w łupki nogi, a także paru dziur po strzałach, nic szczególnego mi nie dolega. Dopiero wizyta opata Szymona uświadomiła mi boleśnie, jak wielką marnością jest srebro i złoto całego świata! Otóż na pytanie, kiedy będę mógł ruszyć w rodzinne strony, gdzie pilno mi się ożenić i spłodzić upragnionego dziedzica, ów zacy mąż odparł dziwnie stropiony i bynajmniej nie od razu:

– Nikt nie może wejść do Królestwa Niebieskiego nie wypróbowany.

– Co chcesz przez to powiedzieć, ojczu? – zapytałem zdziwiony.

– Tylko to, że ciało należy do świata, a wszystko, co należy do świata, kocha też okazje do grzechu. Dlatego, jeśli zdarzy się nam ponieść jakiś uszczerbek na ciele, powinniśmy przyjąć to z radością i dziękować Bogu, że uwolnił nas w ten sposób od niektórych pokus – odpowiedział uprzejmie, ale takim tonem, jakby chciał mnie pocieszyć.

– Mów trochę jaśniej, ojcze – poprosiłem – bo od ran rozum mi się chyba nadwerezyl.
– Mniejsza o twój rozum, a nawet o nogę – tym razem pozwolili sobie na pewną obcesowość. – Wygląda bowiem na to, że największą szkodę poniósł od strzały twój członek płodzący.

Odruchowo sięgnąłem poniżej brzucha, lecz byłem tak szczerze owinięty płótnem, że nie udało mi się niczego stwierdzić. Widząc mój gest, opat pokręcił głową.

– Nie, niczego ci nie brakuje. Wątpliwe tylko, żeby moc wróciła.

– Na rany Chrystusa! A moje małżeństwo?! Mój syn?! – zawolałem z przerażeniem.

– Małżeństwo? – wzruszył ramionami. – Na świętego Wiktoriana, któregoś tak dzielnie bronił, cóż ci po małżeństwie? Czyżbyś nie wiedział, że pod pewnymi względami nie różni się ono niczym od nierządu, a jego główna wartość polega na tym, że rodzą się z niego dziewczęta? Niechaj się żenią ci, którym zależy na nocnych obłapiankach i którym nie przeszkadza popiskiwanie dzieci. Rozumny człowiek w ogóle nie tyka kobiet, zaś w kwestii potomstwa zawsze pamięta o tym, że nikt bardziej nie paskudzi w domu, niż myszy, gołębie i dzieci.

– Nie kpj sobie ze mnie, ojcze! Jakże mam żyć bez kobiet?! – chwyciłem się za głowę.

– Jakoś można, wierz mi. Wytlumacz sobie, że kobieta to najniebezpieczniejsza ze wszystkich pułapek, jakie czują na nas na tym świecie. Prawdziwa furtka do piekła i smok jadowitszy od salamandry. W końcu, naszego praojca Adama nie namówił do grzechu diabeł, tylko jego własna żona. I dlatego jest bardzo wątpliwe, żeby jakaś kobieta mogła podobać się Bogu.

Widząc, że go wcale nie słucham, przerwał, popatrzył na mnie z politowaniem, a potem, machnąwszy ręką, dodał na odchodnym:

– Zresztą, wszystko w rękę Boga. Czasem dopuszcza na ludzi cierpienia, aby zaczęli Go szukać tym chętniej i mocniej. Oby tak było i w twoim przypadku.

W jakąż rozpacz wtrąciły mnie jego słowa! Słyszałem wprawdzie nieraz, że człowiek jest trawą, a wszelka wspaniałość człowieka jest jak kwiat tej trawy, słyszałem także, że wszyscy zestarzejemy się niczym szata, po czym stoczą nas mole, a jednak wydało mi się okrutną niesprawiedliwością, że musiało się to przytrafić akurat mnie, tak szybko, po tylu zasługach i na dodatek w chwili, kiedy postanowiłem wreszcie zadbać o ciągłość mojego rodu! Jakby tego było mało, ów, z powodu którego złożyłem tak wielką ofiarę (nie zapomniałem mu jego zniewagi!), wciąż leżał nieprzytomny i nawet nie mogłem wyrównać z nim rachunków.

Kiedy po kilku dniach zdjęto mi część bandażu i odzyskałem swobodę ruchów, natychmiast poddałem uszkodzone miejsce pieczołowitym oględzinom i rozmaitym, wyczerpującym próbom. Na pozór wszystko było w porządku, a jednak na próżno sięgałem pamięcią do lubyh chwil z przeszłości i daremnie wyobrażałem sobie moją przyszłą małżonkę pod postacią najurodziwszej z niewiast. Jakby na potwierdzenie słów uczonych w Piśmie, surowo przeciwstawiających skłonności ciała dążeniom nieśmiertelnej duszy, to, co jest ciałem o wiele bardziej niż cała jego reszta, niezmiennie ciążyło ku ziemi, wskazując wymownie na proch, z którego powstało i w który się kiedyś obróci.

Mimo to nie ustawałem w moich wysiłkach, aż któregoś razu zaskoczyła mnie przy nich klasztorna posługaczka, Saracenka przynosząca nam posiłki i sprzątająca nasze pomieszczenie. Nie zdążyłem nawet okryć się derką, kiedy, przyjrawszy mi się przez chwilę zza czarnej zasłony zakrywającej jej twarz, parsknęła śmiechem, po czym wybiegła z celi jak oparzona. Rozgniewany na siebie i na nią, nie potrafiłem powstrzymać się od złośliwości, gdy następnego dnia zajrzała do nas ponownie. Zwłaszcza, że tym razem długo i głośno pukała, po czym skłoniła mi się w progu z wyraźną przesadą.

– Wejdz – rzekłem kwaśno na jej widok. – Rozumiesz po chrześcijańsku?

Skinęła potakująco głową.

– Jak masz na imię?

– Subh.

– A zatem powiedz mi, Subh, czy to prawda, że wy, Saracenki, dlatego zasłaniacie sobie twarze, że wszystkie jesteście nadzwyczaj szkaradne?

– Możliwe, ale z pewnością nie aż tak bardzo, jak wasze kobiety – odparła bez namysłu. – Inaczej wy, chrześcijanie, nie wolelibyście radzić sobie bez nich.

Cios był zadany tak celnie, że zawstydzony, postanowiłem się usprawiedliwić.

– Wybacz, właściwie nie chciałem cię urazić. Zostałem paskudnie zraniony.

– Wiem – odpowiedziała. – Ja też nie chciałam cię urazić.

Kaleczyła niemilosierdzie wyrazy, ale w jej głosie zabrzmiało coś tak miękkiego, że przyjrzałem się jej uważnie. Choć z całej jej spowitej w czerni postaci widziałem jedynie oczy, nie wiedzieć czemu pomyślałem sobie, że musi być niebrzydka.

– Usiądź – wskazałem jej miejsce w nogach pryczy. – Skąd się tu wzięłaś?

Zakłopotana przysiadła na brzeżku pryczy.

– Dostałam się do niewoli, kiedy uciekłam od męża – wyjaśniła przeciągając poszczególne słowa.

– Uciekłaś od męża? A to dlaczego? – zainteresowałem się.

– Dlatego, że go zdradziłam, a on się o tym dowiedział – odrzekła hardo, już bez owego przeciągania chrześcijańskich sylab.

– Zdradziłaś męża?! – uniosłem brwi do góry.

– Tak, i to z chrześcijaninem jak ty, niech go Allah oszpeci!

– To ciekawe – skrzywiłem się. – Czy możesz mi o tym powiedzieć coś więcej?

Westchnęła, lecz kiwnęła głową na znak zgody.

– Wysłałam za mąż za rycerza, który przybył do Al-Andalus z Yusufem Ibn Tashfinem i był jego chorążyym w bitwie pod Zallaqah. Mojego męża, wciąż zajętego wojną, prawie nigdy nie było w domu, więc całymi miesiącami skazana byłam jedynie na towarzystwo innych żon, przyjaciółek i służby. Należał do niej także pewien chrześcijański rycerz imieniem Rodrigo, opiekujący się w niewoli naszymi sokołami, który zapłonął do mnie gwałtowną i zakazaną miłością. Przy rzadkich okazjach, kiedy mógł się do mnie zbliżyć, szeptał mi czule słowa i przysięgał zrobić wszystko w zamian za najdrobniejszy dowód przychylności z mojej strony. Kiedyś posunął się nawet do tego, że obiecał mi przejść na naszą wiarę, jeśli okażę się dla niego choć trochę łaskawsza...

– A to ładnie! Dlaczego nie doniosłaś na niego od razu starszemu nad służbą?

– Bo był młody i bardzo przystojny. Jednak szybko przekonałam się, że popełniłam błąd. Któregoś dnia, nie wiem jak, zmylił czujność eunuchów strzegących naszego haremu i wpadł do mnie z wielkim kuchennym nożem. Przystawił go sobie do serca i zawołał: „Subh, moja kochana Subh, jeśli nie chcesz, żebym z miłości do ciebie zaraz się przebił, nie bądź z kamienia i odśłoń na chwilę twoją twarz!”. Wyglądał tak, jakby do reszty postradał rozum, więc zrobiło mi się go żal. Pomyślałam, że może lepiej popełnić grzech, niż pozwolić, żeby się zabił z mojego powodu, toteż, choć z ociąganiem, spełniłam jego prośbę.

– Nie powinnaś była tego robić – zauważyłem z przyganą. – Niechby się bydlak zabił. Co było dalej?

– Padł przede mną na kolana i wykrzyknął: „Pani! Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu! Błagam cię, nie bądź skąpa i odśłoń coś jeszcze!”. Tego było już za wiele, więc kazałam mu się wynosić i odwróciłam się, żeby przejść do sąsiedniej sali. A wtedy ten łajdak z piekła rodem podkoczył do mnie i ugryzł mnie z całej siły w pośladki! Miałam na sobie tylko lekką atlasową spódnicę, toteż wbił we mnie wszystkie zęby! Nim zdążyłam krzyknąć, zniknął zapominając o nożu. Także i tym razem nie wydałam go w ręce kata, lecz los mnie za to pokarał, bo w dwa dni później mój mąż powrócił ze zwycięskiej wyprawy przeciwko Umarowi Al-Aftasowi, władcy Badajoz. Miałam nadzieję, że wieczorem wezwie do siebie jakąś inną żonę, ale on, na moje nieszczęście, właśnie mnie kochał najbardziej...

– Po tym co usłyszałam, wcale mu się nie dziwię.

– Dziękuję, panie. Długo okrywał mnie pieścizotami i pocałunkami, aż wreszcie nastąpiło to, co musiało nastąpić. Jego ręce nagle znieruchomiały, a on, wpatrując się w moje pośladki, krzyknął przeraźliwie: „Na Allaha! Widzę dwie głowy dojrzałe do ścięcia!”. Na nic zdały się moje tłumaczenia i błagania, na nic moje płacze i przysięgi! Surowy i podejrzliwy jak wszyscy Lemtunowie, dopatrzył się zdrady i jeszcze tej samej nocy kazał ściąć Rodriga.

– Słusznie, też bym tak zrobił. A co z tobą, pani?

– Ze mną? Zamknął mnie w moim pokoju, odkładając decyzję do rana. Ja zaś wołałam na nią nie czekać i skoczyłam z balkonu, po czym wydostałam się z naszej posiadłości przez słabo strzeżony ogród. Przy skoku skręciłam nogę, lecz tym razem miałam trochę szczęścia, bo tuż za naszym majątkiem wpadłam w ręce rabusiów, którzy sprzedali mnie do tego klasztoru – wyjaśniła ze smutkiem.

Po tych słowach chwyciłem ją za rękę i powiedziałem z przejęciem:

– Pani, od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, byłem pewny, że musisz być niezwykle piękna! Teraz widzę, że nie brak ci także rozumu. Wielka szkoda, że po tak przykrych przygodzie zapewne nie zechcesz pokazać mi swojej twarzy, pierwszej przyczyny twojego nieszczęścia!

– Twarzy?! O nie, przynigdy! – cofnęła ręce z przerażeniem, lecz zaraz dodała pojednawczo: – Ale jeśli ci na tym zależy, mogę ci pokazać jego przyczynę drugą.

Po czym, nie czekając na moją decyzję, wstała, odwróciła się i uniosła powoli swoją czarną spódnicę. Prawdę rzekłszy, poczułem się rozczarowany. Miała wąską kibić i niezbyt wysklepione pośladki, przypominające kształtem odwrócony owoc figowca, mnie zaś zawsze podobały się najbardziej nasze kobiety o dużo jaśniejszej cerze i znacznie obfitszych kształtach. Mimo to, widząc, że już zamierza się zasłonić, gwałtownie przeciw temu zaprotestowałem.

– Chwileczkę! A gdzie jest rana, którą zadał ci Rodrigo?

– Już się zbliżyła. Tylko tutaj – dotknęła palcem prawego pośladka – pozostał jeszcze niewielki ślad.

– Musisz się bardziej zbliżyć, bo tak nic nie widzę – poprosiłem.

Wtedy podeszła do mojej pryczy, położyła się i nieco uniosła biodra. Z bliska wydała mi się o wiele ładniejsza. Przyjrzałem się z uwagą wskazanemu miejscu, lecz nie dostrzegłem w nim nic oprócz zwykłego pieprzyka. Poglądziłem zatem tym czulej jego okolice i rzekłem:

– Zaiste, pięknie się wygoiło. Byłbym zresztą niepokieszony, gdyby było inaczej.

A potem obróciłem ją delikatnie na bok i odchyliłem jej udo. Domek Wenus, tak jak lubiłem, miała całkiem wygolony. Widok obłej szczeliny, z lekka już rozchyłonej i zaróżowionej, poruszył jak zawsze moje serce, ale inaczej niż zwykle – nic więcej. Długo wodziłem palcem wzdłuż jej brzegów, raz po raz zanurzałem go w niej, to głębiej, to płycej, aż w końcu, kiedy Subh, przysunąwszy się do mnie jeszcze bliżej, własnoręcznie poszerzyła ją i zaokrągliła, ucałowałem to miejsce ze szczerą ochotą.

Nie mając wcześniej do czynienia z Saracenkami, nie przypuszczałem nawet, że kobieta może tak pięknie pachnieć, toteż w ślad za pierwszym pocałunkiem złożyłem w tym miejscu drugi, trzeci i kolejne, a mimo to moje serce, choć przepojone wdzięcznością, pozostawało nadal straszliwie samotne.

Subh musiała to wyczuć, bo nagle szepnęła:

– Pozwól, że ci pomogę – po czym, odsunąwszy derkę, którą byłem nakryty, przesłoniła siebie i moje lędźwia swym czarnym hidżabem.

W pierwszej chwili, kiedy poczułem się w jej ustach, przepełniła mnie nie tylko nieznaną mi dotąd błogość, ale – co ważniejsze – także uzasadniona, jak mi się zdawało, nadzieja. W drugiej zrozumiałem, że nadzieja ta była płonna, zaś trzeciej w ogóle nie było, ponieważ za naszymi plecami rozległ się chrapliwy głos:

– Gdziekolwiek jestem, w niebie czy w piekle, dajcie mi wody!

Subh skoczyła jak oparzona, i to tak nieszczęśliwie, że nastąpiła przy tym na moją złamaną nogę, a następnie znikła, jakby się rozplynęła w powietrzu! Mdlejąc z bólu, odwróciłem się w stronę pryczy zajmowanej przez El Latino, który wsparty na łokciu, musiał obserwować nas już od dłuższego czasu, i wycedziłem przez zęby:

– Panie, masz paskudny zwyczaj mieszania mi szyków w najmniej stosownej chwili! Mam nadzieję, że wystarczy ci również odwagi, by za to zapłacić.

– Później – burknął w odpowiedzi. – Teraz chcę tylko wody.

Chcąc nie chcąc pokuśtykałem do niego z dzbankiem, a on pił i pił wielkimi haustami, po czym obtarł z zadowoleniem spieczone usta i natychmiast zapadł ponownie w sen.

Nie obudził się z niego przez kilka następnych dni, podczas których Subh nie pojawiła się ani razu. Badający go medyk kręcił z niedowierzaniem głową, klnąc się na wszystkie świętości, że jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś, kto według całej jego wiedzy, powinien był już dawno umrzeć, miał się z dnia na dzień coraz lepiej, i to na dobitkę bez jedzenia, picia i przyjmowania jakichkolwiek medykamentów! Ja również cieszyłem się z powrotu do zdrowia El Latino, ponieważ przysięgłem mu zemstę, a przecież nie mogłem bić się z nieboszczykiem. Dlatego, kiedy znów się obudził, jeszcze zdrowszy i bardziej rześki, i zażądał wielkim głosem wieczery, odczekałem, aż nasyci głód, po czym zwróciłem się do niego najuprzejmiej, jak umiałem:

– Cieszę się, panie, że masz się już całkiem dobrze, i że wedle wszelkich znaków na niebie i na ziemi, opuścisz ten lazaret szybciej ode mnie. Życzę ci z całego serca, abyś doszedł do pełni sił jak najszybciej, bo kiedy zrośnie się moja noga, chciałbym stanąć z tobą do walki, pieszej albo konnej, na tępe bądź na ostre, na śmierć lub na życie, jak ci tam będzie wygodniej.

El Latino spojrział na mnie uważnie i stwierdził z uznaniem:

– Ależ jesteś zawzięty, chłopcze! Bardzo to lubię, lecz niestety muszę ci odmówić.

Wtedy, wrząc z oburzenia, zawołałem:

– Nie nazywaj mnie chłopcem, tchórze!

– A ty mnie tchórzem, chłopcze – uśmiechną się. – Dla mnie jesteś i pozostaniesz chłopcem, czy to ci się podoba, czy nie. Jednak walczyć z tobą nie zamierzam. Po pierwsze dlatego, że chciałeś mi pomóc, a po drugie, bo nie masz ze mną żadnych szans.

– To się jeszcze okaże! – rzuciłem wyzywająco.

– Nic się nie okaże. Uprawiam to rzemiosło trochę dłużej od ciebie. Wiesz, co ci powiem, chłopcze? Zamiast myśleć o zemście, zdobądź lepiej od braciszków dzban dobrego wina. Napijemy się na zgodę, a potem opowiem ci coś, co opowiadam tylko takim jak ty, to znaczy takim, którym wydaje się, że uratowali mi życie. Ostatnim, pod Toledo, był niejaki Herluin, jeśli dobrze pamiętam.

Stwierdziłem, że tylko mi się wydaje, jakobym uratował mu życie, zaciekawili mnie na tyle, że odłożyłem gniew na później i zdobyłem rzeczony dzban wina. El Latino najpierw ułął z niego kilka kropel na ziemię, potem wychylił duszkiem dobre pół kwarty za nasze zdrowie, a wreszcie przekazał go w moje ręce i rozparty wygodnie na swojej przycy, rzekł:

– Nazywam się Mamerkus Camillinus i pochodzę z plebejskiego, acz starego i szacownego rodu. Urodziłem się w roku 761 od założenia Miasta, to znaczy ósmym od przyjścia na świat naszego Pana Jezusa Chrystusa.

– Kpisz czy o drogę pytasz? – przerwałem mu drwiącym tonem i sam pociągnąłem z dzbana solidny łyk.
– Musiałbyś mieć dzisiaj tysiąc lat z okładem.

– Prawie tysiąc dziewięćdziesiąt. I co z tego? Nie czynimy słonia z muchy. Czyżbyś nie wiedział, że Noe żył dziewięćset pięćdziesiąt lat, a Matuzalem jeszcze więcej, bo dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć? A może w to nie wierzysz? – spojrział na mnie badawczo.

– Jako ochrzczony mam obowiązek czynić to wszystko i w to wszystko wierzyć, co czyni i czego naucza Święta Matka Nasza, Kościół Rzymski – odparłem uroczyście.

– Więc i z tym nie powinienes mieć trudności – skwitował lekteważąco. – Lepiej mi nie przerywaj albo nigdy nie skończymy.

– W porządku, spróbuję trzymać język za zębami – obiecałem.

– A zatem, chłopcze, jak już powiedziałem, urodziłem się w roku 761 *ab Urbe condita*, czyli ósmym od narodzin naszego Pana Jezusa Chrystusa. Dziesięć miesięcy wcześniej ojciec mój Rufus, po piętnastu latach nienagannej służby, uzyskał urlop na załatwienie spraw spadkowych w rodzinnym Lavinium, gdzie trafił akurat na święto Libera.

– A co to za jeden?

– Bóg płodności i kielkowania. Corocznie podczas jego świąt obwozono po całej okolicy wielki członek męski wykonany z drewna, aby w końcu złożyć go z należną czcią na forum mojego ojczystego miasta, założonego, jak wiadomo, przez samego Eneasza. W najważniejszym dniu obrzędów, kiedy to dla zapewnienia polom urodzaju, najszacowniejsza z miejscowych matron musiała przystroić ów członek kwiatnym wiankiem, mój ojciec zwrócił uwagę na pewną dziewczynę - moją przyszlą matkę - która, jako jedyna spośród zebranych, w trakcie tej ceremonii zasłaniała sobie twarz welonem. Od razu się w niej zakochał, jeszcze szybciej ożenił i zanim nadszedł termin powrotu pod sztandary, spłodził z nią czym prędzej wymarzonego od dawna syna.

– Nawet nie wiesz, jak mu zazdrosczyć! – westchnąłem z kolejnym łykiem wina.

– Nie ma czego, chłopcze, nie ma czego – zauważył ze smutkiem El Latino, a potem ciągnął dalej: – Moze kierowały nim złe przecucia, może dostrzegł złowróżbne znaki w locie czy wnętrzościach ptaków, dość jak ci powiem, że w rok później zginął wraz z całym XIX legionem z ręki Cherusków dowodzonych przez zdracając Arminiusza. Jak opowiadał mojej matce pewien weteran, który dotarł później na miejsce bitwy z Germanikiem, barbarzyńcy złożyli na leśnych ołtarzach, w ofierze swoim bożkom, wszystkich ujętych żywcem trybunów i setników, a ich czaszki poprzybijali do drzew ćwiekami ku naszej przestrodze. Czy taki właśnie koniec spotkał mojego ojca, który na parę miesięcy przed tą klęską miał pecha dosłużyć się godności starszego centuriona drugiej kohorty, czy też fortuna okazała się dla niego łaskawsza i zginął z bronią w ręku, tego nie dowiedzieliśmy się nigdy.

– Jaki Arminiusz? Jaki Germanik? – zapytałem, ale spostrzegłszy, że El Latino rozkłada ręce i wznosi wzrok ku niebu, jakby oczekiwał stamtąd wsparcia i pomocy, odwołałem natychmiast moje pytania i pozwoliłem, żeby mówił dalej.

– Ów weteran, nasz sąsiad, wręczył mojej matce zawiniątko przywiezione z Germanii. Była to ludzka czaszka z widniejącą pośrodku czoła dziurą po barbarzyńskim bretnalu, okutana w kawałek zbutwiałego żołnierskiego płaszcza i objedzona do ostatniego włókienka ciała przez germańskie mrówki. Matka wyprawiła jej uroczysty pogrzeb i odtąd, choć nie było żadnych rozsądnych podstaw aby wierzyć, że to właśnie mój ojciec powrócił w ten sposób na łono rodziny, składała na tę czaszkę najpoważniejsze, przepisane zwyczajem przysięgi.

W rodzinie mojego ojca wszyscy zdrowi na ciele i umyśle mężczyźni od pokoleń służyli w wojsku. Żał po stracie świeżo poślubionego małżonka, jak też wynikające stąd tym większe przywiązanie do mnie sprawiły, że moja matka powzięła stanowczą decyzję zerwania z tą tradycją. Z tego powodu w dzieciństwie i młodości, inaczej niż wszyscy moi przodkowie, a także rówieśni mi kuzyni i przyjaciele, nie uprawiałem się w zapasach, szermierce czy w walce na pięści, nie brałem też udziału w zawodach strzeleckich ani nie nauczyłem się dobrze jeździć konno, a o powożeniu rydwanem nie śmiałem w domu nawet pisać. Matka zabraniała mi również bawić się w podbijanie prowincji czy w walki gladiatorów i patrzyła krzywym okiem nawet na najzwyczajsze wyprawy do palestry lub cyrku.

Za to za pieniądze dziadka Senniusza, swego ojca, sprawiła mi preceptora Greka, który uczył mnie retoryki i literatury w obu językach, jak również opłacała mi lekcje filozofii i prawa. Marzyła, biedaczka, że zostanę wziętym retorem albo adwokatem... Ale, ale, czy aby rozumiesz takie słowa, jak „gladiator”, „palestra”, „preceptor”, „adwokat”, a zwłaszcza „filozofia”?

– Oczywiście – skłamałem bez mrugnięcia okiem. – Mów dalej, Mamerkusie.

– To dobrze. Tak więc, kiedy raz dałem sobie wytłumaczyć, że laury zdobyte na niwie poezji bądź prawa przynoszą obywatelowi nie mniejszy zaszczyt niż krew przelana w służbie ojczyzny, uprawiałem gorliwie poletko Apollina, ćwiczyłem się w sztuce krasomówczej i bez szczególnego obrzydzenia wertowałem kodeksy praw.

Przyszłość zapowiadała się całkiem niezłe. Już w chwili przywdziania togi męskiej mogłem poszczycić się wydaniem zbioru okolicznościowych epigramów, obdarzonych życzliwą uwagą kilku znajomych literatów, a także daleko posuniętą pracą nad komentarzem do ustaw Oppijskich. Przeniósłem się do Rzymu, gdzie za pieniądze dziadka Senniusza wynająłem mieszkanie na Eskwilinie, tuż przy bramie Prenestyńskiej. Wkrótce potem sprzedałem też pewnemu senatorowi, za pięćset sestercji, mowę przeciwko zbytkowi, którą ów wygłosił później z wielkim powodzeniem w senacie. Po tych sukcesach nabrałem przekonania, że z czasem dorównam jako orator wziętemu krasomówcy Kwintusowi Hateriuszowi, zaś pod względem znajomości prawa samemu Kapitonowi Ateuszowi, zażywającemu podówczas sławy najtęższego z jurystów.

Przez następne lata oddawałem się studiom i pracy ze zdwojonym zapałem. Nie trwonilem czasu na bezczynność ani nie przedkładałem nigdy przyjemności nad pożytek. Rychło ukończyłem i ogłosiłem komentarz do ustaw Oppijskich, zyskałem także kolejnych klientów na układane przez siebie oracje. Zacząłem również występować w sądzie i żeby poprawić dykcję, wzorem Demostenesa godzinami ćwiczyłem moje mowy z kamieniami w ustach. Zaniedbałem jedynie poezję, ponieważ w natłoku codziennych zajęć nie byłem w stanie poświęcić Muzom tyle czasu i uwagi, ile powinien im oddać każdy, kto chce liczyć w zamian na ich łaskawość. Brak czasu nie pozwolił mi także założyć rodziny. Odkładałem tę rzecz na później, na porę, gdy zdobędę odpowiednią pozycję w światku liczących się retorów. Tymczasem, przyciśnięty potrzebą, zadowolalem się zwykłą rozpustą, chociaż – mówię to po to, żeby cię uspokoić, skoro już musimy leżeć w tej samej celi – do dziś poczytuję sobie za chwałę, że, być może z wrodzonego umiaru, nigdy nie zasmakowałem w grzechach przeciwnych naturze.

– Tego by jeszcze brakowało! – przeżegnałem się w wszelki wypadek.

– Ta sama stateczność, która kazała mi odnosić się wstrzemięźliwie do porywów ciała, sprawiała również, że nie interesowałem się zbyt polityką. Rzecz jasna, wiedziałem jak wszyscy o zbrodniach Sejana, słyszałem jak wszyscy o okrucieństwach i łajdactwach cezara, jakich dopuszczał się w swej samotni na dzikiej Kaprei, jak prawie wszyscy oplakiwałem los Germanika i jego rodziny, ale nade wszystko – też jak niemal wszyscy - bałem się wszechobecnych donosicieli, którzy sztukę przywodzenia innych do zguby wzniesli w owe lata na istne wyżyny. Toteż często powiadałem sobie:

*Po cóż wspominać ohydne morderstwa, zbrodnie tyrana?
Niechaj bogowie mu za nie zapłacą i jego rodowi!*

A zresztą, doktryna moich mistrzów nauczyła mnie, że w teatrze świata każdy ma do odegrania swoją własną rolę, i jedyne co naprawdę może, to zagrać ją jak najlepiej, nie oglądając się zbyt na całą resztę, na którą najczęściej i tak nie ma żadnego wpływu.

Dłatego, kiedy rozeszła się pogłoska, że Tyberiusz nie żyje, zakluty mieczami, otruty czy też zaduszony poduszkami na swojej Kaprei, z początku w to nie wierzyłem, wietrząc w tym jakiś nowy podstęp nikczemnego starca, później zaś, gdy rzecz się potwierdziła, starałem się nie okazywać zbyt jawnie rozpieszczonej mi radości. Lud tymczasem tak bardzo się ucieszył z jego śmierci, że biegał jak szalony po całym Rzymie, wznosząc nieprawomyślne okrzyki i głośno wiwatując. Jedni wołali: „Tyberiusz do Tybru!”, drudzy wzywali senat, by przeklął jego pamięć albo błagali Jowisza, by strącił go do najniższej części Tartaru, jeszcze inni grozili trupowi Skalą Tarpejską bądź Schodami Gemońskimi.

Szczególne wzburzenie obywateli wywołało stracenie z wyroku cezara – już po oficjalnym ogłoszeniu jego śmierci – kilku więźniów. To pośmiertne okrucieństwo tyрана rozsierzdziło także mnie i to właśnie ono wytrąciło mnie ostatecznie z kolein powściągliwości przystojującej filozofowi, za jakiego się wówczas uważałem.

Jakby coś we mnie pękło, jakby została przerwana we mnie jakaś wewnętrzna tama, szalałem ze szczęścia wraz z całym ludem, kiedy ogłoszono władcą młodego Gajusza. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że objęcie tronu przez tego młodzieńca spełniło najgorętsze pragnienie większości moich rodaków, szczególnie zaś żołnierzy, znających go jeszcze z czasów, gdy w żarcie obozowym zyskał przydomek Kaliguli – co w moim ojczyznym języku znaczy „Bucik” – ponieważ wychowywany od najmłodszych lat pośród wojska nosił jako pacholę podkutę sandały zwykłego legionisty. Kochano go również dla jego ojca Germanika i całego świetnego, a prawie już wygasłego rodu, z którego się wywodził. Więc kiedy kroczył z Kampanii za zwłokami Tyberiusza, wszędzie honorowano go ołtarzami i łukami tryumfalnymi, wszędzie obsypywano go kwieciami, wszędzie wieszano girlandy i festony, wszędzie składano mu ofiary, wszędzie palono na jego cześć pochodnie i urządzano dla niego wystawne uczy. Wszędzie też witały go wielkie tłumy, obwołujące go swoim „słoneczkiem”, „gwiazdeczką”, „syneczkiem”, „chłopaczkiem”, „pieszczotką”, „kochasiem” albo „pupilkim”. A kiedy niedługo potem ciężko zachorował, jeszcze większe tłumy nocowały w rozpaczy wokół Palatynu, zanosząc błaganie do bogów o jego jak najszybsze wyzdrowienie.

Wśród tych ogromnych tłumów byłem i ja. I ja, choć na co dzień niezbyt przykładałem się do wypełniania obowiązków religijnych, uważając, że przyzwoitemu człowiekowi i dobremu obywatelowi wystarczy, jeśli od czasu do czasu weźmie udział w oficjalnych obrzędach, przez całą tamtą pamiętną noc modliłem się, śpiewałem nabożne pieśni, składałem ofiary i paliłem kadzidła przed posągami uwielbianego cezara. A kiedy jeszcze nad ranem niektórzy z obecnych poczęli składać śluby, publicznie wymieniając swoje nazwiska, że za jego wyzdrowienie gotowi są oddać własne życie lub potykać się z bronią w rękę jako zawodnicy, także i ja, porwany ogólnym entuzjazmem i urzeczony podniosłem pięknem owej chwili, uczyniłem bez wahania to samo, zapominając o wrodzonym umiarkowaniu i nabytej uporczywą pracą postawie filozofa. Co gorsza, zapomniałem również o tym, że w dobie powszechnego zepsucia obyczajów jest równie nierozsądne brzydzić się pochlebstwem, jak i w nim przesadzić. Cezar bowiem wkrótce wyzdrowiał, a ja przekonałem się na własnej skórze, jak niebezpieczne bywają miłości ludu.

Pamiętam, że siedziałem właśnie przy pieczonej kozzacie i dyktowałem orację, w której rozważałem kwestię, czy nasze sprawy toczą się z woli przeznaczenia i przedwiecznej konieczności, czy też raczej według ślepego trafu – najwięksi mędrcy nie byli bowiem co do tego zgodni – dochodząc akurat do miejsca, gdzie chciałem przedstawić dowody na to, że bogowie wcale o nas nie dbają, wskutek czego wszelkie dole i niedole przypadają w udziale, równie niedorzecznie i bez żadnej winy czy zasługi tak dobrym, jak i złym, kiedy nagle rozległo się pukanie do moich drzwi. I zanim mój niewolnik Otho zebrał się, by je otworzyć, do środka wpadł garbaty Cestiusz, właściciel *insuli*, w której wynajmowałem mieszkanie, wskazał na mnie palcem, po czym zaśmiał się szyderczo i wyskoczył na korytarz z tą samą chyżością, z jaką się był pojawił.

Zaintrygowany podszedłem do drzwi. Stał w nich – pochylając z lekka głowę, gdyż inaczej by się tam nie zmieścił – centurion pretorianów miejskiej kohorty. Zapięty pod brodą hełm wskazywał, że jest na służbie. Przez wąski prześwit między jego zwalistą postacią a framugą dostrzegłem sylwetki jeszcze dwóch żołnierzy. Byłem tak zdumiony, że nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu. W tej sytuacji centurion odezwał się pierwszy, wciąż zasapany z wysiłku:

– Jak można, kurwa, mieszkać na szóstym piętrze?!

– Czasami nie ma innego wyjścia – usprawiedliwiłem się skromnie. – O co chodzi?
– Mamerkus Camillus? – zapytał bardziej urzędowym tonem.
– Camillinus – sprostowałem. Ale on tylko machnął ręką i dał znak jednemu z podwładnych, który odhaczył coś rylcem na woskowej tabliczce.
– No to idziemy – rzekł bez dalszych ceregieli.
Jako wolno urodzony obywatel, zażądałem wyjaśnień i otrzymałem je:
– Ślubowałeś, jak wielu innych, walczyć za zdrowie cezara. Musisz być miły bogom, bo raczyli cię wysłuchać. Cezar wyzdrowiał, a teraz życzy sobie, żeby dopełniono ślubów.

Próbowałem coś powiedzieć, ale oni nie mieli ochoty tego słuchać, tylko zwlekli mnie po schodach na ulicę, gdzie pod strażą żołnierzy czekała już grupka podobnych do mnie nieszczęśników. Wszyscy zatrzymani byli równie przerażeni jak ja, przy czym jeden z nich, należący – jak wniosłem ze stroju – do stanu rycerskiego, wykrzykiwał raz po raz, że jest niewinny. Że zaś o przeprowadzanych aresztowaniach już się rozeszła

*Wieść, która jest najszybszym ze wszystkich
w świecie dopustów,³*

ludzie, których mijaliśmy po drodze, chowali się na nasz widok w bramach lub znikali pośpiesznie w najbliższych zaułkach, choć nie brakowało również i takich, którzy sądząc, że oto pędzi się do więzienia jakichś zwykłych przestępców, głośno nam złorzeczyli, wyrażali pięściami, a nawet ciskali w nas kamieniami i wszystkim, co mieli akurat pod ręką.

Jednak większość moich towarzyszy bardziej dręczyło pytanie, dokąd nas prowadzą, i czy – jeśli rzeczywiście przyjdzie nam wystąpić na arenie – będziemy walczyć na zwykłych igrzyskach, gdzie przynajmniej najmłodszy i najsprawniejszy z nas mogli liczyć na łut szczęścia, czy też, nie daj Boże, na tak zwanych *munera sine missione*...

– A cóż to takiego, u diabła? – przerwałem mu zaciekawiony.

– Walka, której nie sposób wygrać. Bo kiedy pokonasz jednego przeciwnika, natychmiast stawiają przed tobą drugiego, a kiedy zwyciężysz i tego, już czeka na ciebie następny. Musisz walczyć dotąd, aż któryś cię zabije. A jeśli jakimś cudem przeżyjesz ich wszystkich, na koniec kładziesz głowę pod topór kata.

– I jak było w twoim przypadku? – zapytałem.

– Na szczęście chodziło o zwykłą hoplomachię, choć to okazało się dużo później. Zresztą, ja się nad tym nie zastanawiałem. Przez całą drogę do koszar gladiatorów, dokąd nas zaprowadzono, głównie przeklinałem krwiożerczość różnych bogów i półbogów domagających się ofiar z ludzi, a jeszcze bardziej moje własne nieopanowanie. A kiedy już na miejscu powiedziano nam, że z woli cezara dopełnimy naszych ślubów za cztery tygodnie, wraz z kilkoma innymi więźniami, wśród których był również wspomniany ekwita, odmówiłem udziału w zajęciach z szermierki i od tej pory myślałem już tylko o nieuchronnej śmierci, żeby się z nią jakoś oswoić.

Na śmierć nie ma ziół w ogrodach – mówiłem sobie – a droga do Tartaru jest jedna dla wszystkich. I trafi do niego każdy, albowiem natura nie tworzy niczego na wieczność. Śmiertelni są nie tylko ludzie, żyjący niewiele dłużej niż jętki nad Tybrem, ale także domy i świątynie, miasta i państwa, góry i rzeki, morza i ziemia, a nawet niebo, słońce i gwiazdy. Wszystko, co powstało z łaski przychylnego Losu, zginie też kiedyś z jego niełaski, tyle że jedno trochę wcześniej, drugie nieco później. Zaś między „trochę wcześniej” a „nieco później” nie ma w istocie większej różnicy. Kto to zrozumie, nie ma się czego lękać. Bać się nie może zwłaszcza filozof, który w przeciwieństwie do prostego ludu nie jest na tyle głupi, ani tak żaloszny, żeby marzyła mu się nieśmiertelność. To on przede wszystkim powinien wiedzieć, że należy cieszyć się tą ilością czasu, jaka została nam przeznaczona, byle tylko spożytkować ją do końca, po czym trzeba ustąpić miejsca innym. Nawet aktor, aby odczuwać satysfakcję i podobać się publiczności, nie musi być na scenie przez całą sztukę. Jeśli zagra dobrze swoją rolę i tak dostanie oklaski. Na koniec pocieszałem się znanym sofizmatem Epikura, że tak naprawdę śmierć nas nie dotyczy, bo dopóki my jesteśmy, jej przecież nie ma, a kiedy ona się pojawia, nie ma z kolei nas.

Szkopuł w tym, że w mojej sytuacji „trochę wcześniej” i „nieco później” dzieliła prawdziwa przepaść, nie sądziłem także, abym zdołał spożytkować do końca tę niewielką ilość czasu, jaka została mi przeznaczona. W dodatku, jako aktor na scenie świata wcale nie byłem pewny końcowych oklasków, zaś mówienie o tym, że śmierć nas nie dotyczy, brzmi zabawnie tylko dopóty, dopóki nie zajrzy nam ona w oczy.

Dlatego im częściej powtarzałem sobie te argumenty, im dłużej walcowałem je w myślach w tę i w w tę, im bezlitośniej kpiłem sobie z życia pozbawionego głębszego sensu, im okrutniej sztychłem z mrzonek gminu o nieśmiertelności i z jego wulgarnej chęci przeżycia za wszelką cenę choćby jednego dnia więcej, im goręcej apelowałem do rozumu i powagi filozofa, tym bardziej bałem się i tym rozpaczliwiej pragnąłem żyć! Żyć w biedzie i poniewierce, żyć w chłodzie, głodzie i niewoli, żyć bez zdrowia, szczęścia i nadziei, ale żyć, po prostu żyć!

Wkrótce doszedłem do tego, że patrzyłem z zazdrością na szczury w naszych koszarach, z których każdy przeżył już niejednego pana, i zamiast filozofii miałem w głowie jedynie wiersze, jakie Horacy włożył w usta Mecenas:

*Uczyńże mnie kaleką, ni ręk, ni nogę nie mającym;
Przypraw mi garb wypukły, wybij też śliskie me zęby.
Byłoby życie zostało! Ze wszystkim tym dobrze mi będzie.
Żyć mi dozwól, choćbym w zapłatę na ostrym palu
Cierpieć miał męki!⁴*

Aż wreszcie, po kilku dniach załamania, kiedy z trwogą wsłuchiwałem się w dochodzący z dziedzińca szczyk broni ćwiczących gladiatorów, z których każdy mógł się okazać moim przeciwnikiem, przypominałem sobie o tym, o czym nie powinienem był nigdy zapominać: że jestem synem, wnukiem i prawnukiem żołnierzy. I stawilem się zaraz przed naszym magistrzem z prośbą o wydanie broni.

Zrobiłem to jako jedyny spośród tych, którzy odmówili wcześniej udziału w zajęciach. Podkreślając stale swoją niewinność ekwita zadowolili się tylko napisaniem prośby o łaskę do ceszara i najspokojniej w świecie czekał na odpowiedź. Inni popadli w zupełną prostrację. Dniem i nocą nie schodzili z pryczy, wpatrywali się w ścianę albo w sufit, nie odzywali się do nikogo, nie odpowiadali na żadne pytania i najczęściej nie tykali również podawanego nam jedzenia. Jeden z nich, młody chłopak z Zatybrza, wyrwał w napadzie rozpaczki miecz pilnującemu nas gladiatorowi i przebił się nim na oczach wszystkich. Zrobił to tak nieumiejętnie, że trzeba go było dobić, lecz nie wywarło to na nikim żadnego wrażenia.

Żadnego wrażenia nie zrobiła także na naszym magistrze Krescencie moja spóźniona prośba o wydanie broni. Wzruszył jedynie ramionami, poklepał mnie po plecach i ze słowami „Chętnego fata prowadzą, opornego włoką przemocą”, pozwolił mi przyłączyć się do swojej grupy.

Ów Krescens w swoim niedługim życiu – był bowiem znacznie młodszy ode mnie – widział już chyba wszystko. Mówiono, że urodził się wolny, lecz pochodząc z ubogiej rodziny, sam sprzedał się laniście. Odnosił kilkadziesiąt zwycięstw i trzykrotnie obdarowywano go wolnością, jednak za każdym razem zaciągał się ponownie, za coraz wyższą stawkę. Jako ulubieniec publiczności, zbił wielką fortunę i jak każdy wzięty zapaśnik cieszył się łaskami kobiet. Podobno miał kochanki nawet w najwyższych sferach Rzymu. Lubił się chępliwie przy winie, że jeśli nawet trafi kiedyś na kogoś lepszego od siebie, to i tak zostawi po sobie ze dwie setki synów, z których kilku na pewno zasiądzie w przyszłości w senacie.

Ponieważ Krescens zorientował się od razu, że jako Samnita z ciężką tarczą i mieczem mógłbym jedynie zepsuć widowisko, a co gorsza ściągnąć tym samym hańbę na naszą szkołę, przydzielił mnie do Traków, którzy – niemal bezbronni – dźwigali jedynie małą okrągłą tarczę i krótki, zakrzywiony mieczyk, zwany przez nas *sica*.

Przez pozostałe trzy tygodnie ćwiczyłem pod jego okiem od świtu do zmroku, starając się ze wszystkich sił nadrobić stracony czas. Mój brak zaprawy fizycznej i całkowita nieporadność w posługiwaniu się bronią wzbudzały w naszej *familia gladiatoria* powszechny śmiech i kpiny, a w wielu moich towarzyszach niedoli skrytą bądź jawnie okazywaną nadzieję. Kilku z nich powiedziało mi nawet w oczy, że modli się codziennie, żeby to właśnie mnie wylosować. Ja sam mogłem co najwyżej modlić się o to, aby jakieś nieprzewidziane wydarzenie podarowało mi trochę więcej czasu.

Jednak, zgodnie z wierszem:

Porzuć nadzieję, że zmożesz wyroki bogów błaganiem,⁵

wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak miało się potoczyć...

W tym miejscu Mamerkus, wyczerpany długą opowieścią i zmorzony wielką ilością wypitego wina, niespodziewanie zasnął, ja zaś, choć byłem bardzo ciekaw dalszego ciągu jego opowieści, nie miałem śmiałości go zbudzić.

II

Ozdrowieńczy sen El Latino trwał całe pięć dni, podczas których nie tylko wystarałem się u braciszków o nowy dzban wina, ale także, nie mogąc znaleźć sobie miejsca w celi, po raz pierwszy obszedłem o kiju pół klasztoru w poszukiwaniu Subh. Znalazłem ją w kuchni, gdzie w towarzystwie innych branek i pod okiem dwóch zakonników siekała mięso na wielkanocne pasztety. Myślałem, że się ucieszy na mój widok, ale ona nawet nie odpowiedziała na moje pozdrowienie, tylko zaczęła tak wściekle walić tasakiem, że od razu wszystkie spojrzenia skupiły się na mnie. Tu i ówdzie znad parującego w miednicach mięsa podniosły się nawet ściszone chichoty. Mimo to nie ruszyłem się z miejsca, co zmusiło ją w końcu do odłożenia żelastwa i wyjścia ze mną na korytarz.

- Po co tu przyszedłeś? – zapytała z niechęcią, wycierając ręce w poplamiony fartuch.
- Jak to, po co? – zdziwiłem się. – Zobaczyć, co się z tobą dzieje, czemu mnie nie odwiedzasz?
- Nie odwiedzam cię i więcej nie odwiedzę.
- Dlaczego? Co się stało?
- Nic. Tylko to, że posunęliśmy się za daleko.
- Za daleko? Zrobiliśmy dopiero pierwszy krok – zażartowałem.
- Pierwszy i ostatni – ucięła i wróciła do kuchni.

„Nie, to nie” pomyślałem, a następnie wdałem się w bolesne rozważania na temat przedziwnej natury kobiet. Wyrwał mnie z nich dopiero Mamerkus, który przebudziwszy się nagle, solidnie się najadł i tego popił, po czym ulegając mojej prośbie, zgodził się ciągnąć dalej swoją opowieść.

– Jak ci już mówiłem chłopcze, wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak miało się potoczyć. W wieczór poprzedzający *munus*, zgodnie z prastarym obyczajem zebrałiśmy się wszyscy, instruktorzy i uczniowie, na tak zwanej *cena libera*, uczcie, która dla większości z nas miała być ostatnim w życiu posiłkiem.

Nigdy wcześniej nie widziałem takiej obfitości najlepszych mięs, ryb, owoców morza i serów, tak wielu gatunków wina podawanego przez usługujących nam niewolników wielkimi stągwiami, tyłu słodczy i owoców pochodzących ze wszystkich wybrzeży *Mare Nostrum*. Nie brakowało nawet alpejskiego śniegu do schładzania trunków, ani wody z cytryną do obmywania rąk. Jedni, pogodzeni już z losem, objadali się bez pamięci, nie dbając zupełnie o jutro. Inni, do których sam należałem, starali się zachować umiar, by zwiększyć w ten sposób swoje szanse. Jeszcze inni, w przeczcuciu nieuchronnego końca – a był wśród nich także nasz ekwita, który nie doczekał się odpowiedzi cezara na swoją prośbę o łaskę – lamentowali, spisywali testamenty, uwalniali niewolników i polecali przechodniom swoje rodziny.

Musisz bowiem wiedzieć, że na mocy zwyczaju wolno było przychodzić na tę wieczerzę publiczności, która miała nas oglądać w amfiteatrze. Toteż wokół stołów krążyło sporo ciekawych, którzy przyszli nas obejrzeć, zobaczyć w jakiej jesteście formie i zorientować się, na kogo warto postawić pieniądze. Niektórzy czynili zakłady już na miejscu, szacując nas niczym niewolników na targu, z tą tylko różnicą, że nikt nie zaglądał nam w zęby ani nie śmiał nas obmacywać.

Zwyczaj, o którym mówię, miał też swoją błogosławioną stronę. Otóż, po raz pierwszy od aresztowania mogliśmy zobaczyć naszych bliskich. Do mnie przyszła matka. Kiedy mnie zobaczyła, rzuciła mi się na szyję i długo nie mogłem jej uspokoić. Takie i tym podobne sceny z udziałem matek, ojców, rodzeństwa, żon i dzieci – niekiedy wiszących jeszcze u matczynych piersi bądź ledwie odrosłych od ziemi – rozgrywały się na całym dziedzińcu koszar, gdzie spożywaliśmy naszą ostatnią wieczerzę, i nawet uczujący dotąd wesoło *doctores*, czyli zabijacy mający za sobą po kilka lub kilkanaście stoczonych walk i o których można by było sądzić, że nie żywią już żadnych ludzkich uczuć, odwracali na ten widok głowy i ściszały głosy.

Posadziłem matkę za stołem i wpatrywałem się w siebie w milczeniu. Potem poprosiła, żebym jej wybaczył, że tak źle mnie wychowała. W odpowiedzi przytulilem ją do serca i wtedy dała mi coś, co przyniosła ze sobą. Był to złoty pierścień z gemmą przedstawiającą Wenus, подарowany jej w dniu ślubu

przez mojego ojca. Wsunęła mi go na palec z życzeniem, aby mi przyniósł szczęście, a potem, powiedziawszy, że będzie się za mnie modlić przez całą noc, zerwała się nagle z miejsca i wybiegła z koszar.

Polecilem ją opiece bogów po mojej śmierci, wypilem dwa puchary meońskiego wina i podszedłem do stołu, gdzie ucztowal Krescens. Jako główny bohater wieczoru, był w świetnym humorze. Odwiedzająca nas publika witała go serdecznie, dopytywała się o jego zdrowie i aktualną dyspozycję, obdarowywała go kwiatami i drobnymi upominkami, odkładanymi do wielkiego kosza przez jego nubijskiego niewolnika, jak również płaciła mu większe lub mniejsze sumy za fachową ocenę naszych umiejętności i za pomoc w trafnym wytypowaniu zwycięzców.

Nasz magister rzucił mi niechętnie spojrzenie spod wieńca z bluszczu, który zdążył już zsunąć się mu na czoło, a potem warknął:

– O co chodzi?

Wtedy położyłem przed nim mój pierścień i zapytałem:

– Mistrzu, co zrobić, żeby zwyciężyć?

Wziął mój pierścień, zważył go w dłoni, wsunął na mały palec, po czym rzucił go swojemu Nubijczykowi i odparł lakonicznie:

– Być lepszym od innych i nie mieć litości.

Jego współbiedniacy ryknęli śmiechem, a któryś z nich dodał:

– Choć tobie wystarczy, jak się pomodlisz.

Na znak, że posłuchanie skończone, Krescens odwrócił się do mnie plecami i musiałem odejść jak niepyśzny.

Przed świtem złożyliśmy ofiary bogom, po czym rozdano nam broje oraz purpurowe, haftowane złotem chlamidy i załadowano nas na wozy, którymi pojechaliśmy do amfiteatru Taurusa. Już przed jego bramą, gdzie zsiadliśmy z wozów, żeby uformować szyk wojskowy, czekała grupa widzów, pozdrawiająca nas okrzykami i wiwatującą na cześć cesarza. A gdy z pierwszymi promieniami słońca weszliśmy na arenę, krokiem swobodnym i z wolnymi rękoma, bo naszą broń nieśli za nami mali chłopcy, podniósł się krzyk tak wielki, że zagłuszył całkowicie jazgot trąbek, rogów, fletów i piszczałek. Ludzie wstawali z miejsc, bili brawo i skandowali imię imperatora. Przedefilowaliśmy wokół areny, pozdrawiając publiczność wypełniającą, mimo wczesnej pory, niemal cały amfiteatr. Podczas przemarszu omiatałem wzrokiem piętrzące się w górę rzędy widzów z nadzieją, że dojrzę gdzieś moją matkę, ale w tak wielkim tłumie nie było to możliwe. Przed lożą cesarską, jak kazał zwyczaj, wyciągnęliśmy do góry prawicę, lecz byłem tak zdenerwowany, że nawet nie zauważyłem, czy Kaligula był w niej obecny.

Potem odbyła się próba broni, podczas której odrzucono tę z przypiętymi ostrzami lub grotami i rozdzielono wśród nas taką, na której rzetelności można było polegać. Później nastąpiły długie godziny oczekiwania, bo do południa przewidziane były walki dzikich zwierząt, a po nich, w trakcie południowej przerwy, kiedy z nieba lał się największy żar, występy tak zwanych *gladiatores meridiani*⁶, rekrutujących się z jeńców wojennych, bandytów i najgorszych szumowin, mających tylko jedno zadanie: pozabijać się nawzajem.

Kiedy trupa ostatniego z nich ściągnięto z areny, przysła kolej na nas i drogą losowania ustalono parę walczących. Po ogłoszeniu wyników pierwszego ciągnięcia losów padłem na kolana, aby podziękować bogom za ich łaskawość, bo choć miałem wystąpić już w trzeciej parze, czyli walczyć w straszliwym wciąż upale, to na sieciarza, z którym miałem się potykać, los wyznaczył mi właśnie owego ekwite, o którym nie bez kozery wspominałem ci kilka razy. Wiedziałem, że w koszarach nie ćwiczył ani przez chwilę i na tym budowałem całą moją nadzieję.

Niesłusznie. Kiedy bowiem założyłem broję, powiedziano nam, że Gajusz, zmienny z natury, widząc jak bardzo podobały się publiczności poranne *venationes*⁷, postanowił sprawić jej przyjemność i kazał naszej dwójce zmierzyć się z lwem.

Nogi ugięły się podę mną, kiedy pomyślałem, jak niewiele mi może zrobić bestii moim krótkim mieczykiem, natomiast ekwita oświadczył raz jeszcze, że jest niewinny i po prostu odmówił wyjścia na arenę! Wtedy smagnięciami bicia wypchnięto na nią nas obu.

Po wyjściu z mrocznych podziemi na ostre światło dnia przez chwilę nic nie widziałem, za to czułem wyraźnie unoszący się w powietrzu odór krwi, potu i fekaliiów. Na szczęście, lwa jeszcze nie było. Czekając na niego, dodawałem sobie otuchy słowami Poety:

*Teraz odwagi ci trzeba i w piersi ducha męznego!*⁸

Natomiast ekwita wbił z rozmachem swój trójząb w piasek, po czym wspiął się na żelazną kratę oddzielającą nas od widowni i zaczął wygrażać pięścią w stronę łoży cesarskiej.

– Jestem niewinny! Jeśli chcesz walki, to sam bij się ze mną, blaźnie! – darł się wniebogłosy.

Jego dalsze słowa utonęły w ryku tysięcy gardel. W kierunku ekwity posypał się grad kamieni i poduszek, z jakimi widzowie przychodzili do teatru, aby jakoś wytrzymać godziny siedzenia na kamiennych ławach. Ale on dalej wymachiwał pięścią i pluł w stronę widowni. I wtedy na arenę weszło dwóch pretorianów. Przy brawach publiczności ściągnęli ekwitę z kraty i przewrócili go na ziemię. Jeden ukląkł mu na piersi, drugi przygwoździł mu ręką podbródek i sięgnął po sztylet. W chwilę później rozległ się przeraźliwy krzyk krojonego żywcem człowieka, żołnierz wytarł sztylet o piasek, a nad moją głową przefrunął ludzki język. Kiedy okaleczony ekwita wił się na piasku, wrzawa jeszcze się wzmogła, bo krata *vivarium*⁹ uniosła się i na arenę wyszedł lew, ogromne bydlę z odmiany o czarnej grzywie, żyjącej wyłącznie w górach Atlasu. Na jego widok cofnąłem się parę kroków, by znaleźć się jak najbliżej ogrodzenia. Oszołomiony hałasem lew znieruchomiał i tylko rozdymał nerwowo nozdrza. Hałas stopniowo cichł, a lew wciąż stał bez ruchu, zamiatając ogonem piasek. Nagle dwoma susami znalazł się przy leżącym ekwicie i zadał mu straszliwe uderzenie łapą, które odrzuciło nieszczęśnika o parę kroków dalej. Drugim ciosem oderwał mu głowę, a potem położył się na jego ciele i

Miażdżył w swych szczękach potężnych kawały mięsa,

co jeszcze

Cieple drgało mu w żuchwach i ciemną bluzgało posoką!¹⁰

Skamieniały z przerażenia nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu, mimo tego, że uwijający się za kratą biczownicy usiłowali zachęcić zwierzę do ataku na mnie. Na szczęście na próżno. Lew kontentował się swoją zdobyczą i nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Nie pomagało nawet klucie go oszczepami. Widzowie znowu zaczęli gwizdać, najpierw pojedynczo, potem coraz powszechniej, lecz bestia ani na moment nie przerwała uczy.

Wreszcie, gdy w amfiteatrze słychać było już tylko jeden potężny gwizd, któryś z biczowników uniosł swoją włócznię i wbił ją lwu między żebra. Zwierzę poderwało się z rykiem i rzuciło się na kratę oddzielającą je od prześladowców. Wtedy inny z nich wbił mu w pierś drugą włócznię z taką siłą, że aż złamał drzewce. I

zwalił się w drgawkach zwierz i legł bez życia na ziemi!¹¹

Myślałem, że to już koniec walki, ale cesarz nie pozwolił mi się wywinąć tak tanim kosztem! Bramka w żelaznym ogrodzeniu otworzyła się ponownie i wepchnięto przez nią do środka jakiegoś opierającego się ze wszystkich sił człowieka. Jeden z żołnierzy rzucił w ślad za nim na piasek własną tarczę i miecz.

Mój nowy przeciwnik, w odświętnym stroju i złany pachnidłami, na próżno szarpał kratą, chcąc się wydostać na zewnątrz. Domyśliłem się, że był to jakiś widz, ktoś, kto miał nieszczęście zakłócić spokój cesarza zbyt głośnym okrzykiem lub wulgarnym słowem, a może zrazić go krojem bądź udrapowaniem togii, albo po prostu wyrazem twarzy, i za karę został posłany na arenę tak jak stał, czy też siedział.

Był dużo starszy ode mnie i wątlej budowy ciała. Nagrodzony pojedynczymi oklaskami podjął z trudem ciężką tarczę i ruszył ostrożnie w moją stronę z wysoko uniesionym mieczem. Na trzy kroki przede mną raptownie przyśpieszył i z okrzykiem „Giń!” zamachnął się dokładnie tak, jak się spodziewałem. Odparłem jego cios z łatwością, po czym uderzyłem go tarczą w ramię. A kiedy upuścił broń, wbiłem w niego mój pugnał aż po rękojęcie. Padł na piasek i w regulaminowym geście uniósł lewą rękę, prosząc o łaskę.

– Bij! Zarznij! – domagała się publiczność.

Spojrzałem w stronę łoża cesarskiej, ale kciuk cesarza był nieubłagany. Przyłożyłem więc *sicę* do gardła przeciwnika i napierając mocno na jej ostrze, pociągnąłem nią zamasyście od siebie.

Krew obryzała mnie od stóp do głów, a mój rywal jeszcze przez chwilę kopał ziemię. W chwilę później podeszli do nas dwaj niewolnicy przebrani za Charonów, którzy, upewniwszy się uderzeniem młotka w czoło zabitego, że naprawdę umarł, dali znak grabarzom, aby go wynieśli. Kiedy go zabierano, inni niewolnicy szybko usuwali zabrudzony piasek, a ja stałem na drżących nogach, czekając, co będzie ze mną.

– I co było? – zapytałem przelykając ślinę.

– Nic, kazano mi walczyć dalej. Zrobiono drugie losowanie, lecz do dzisiaj myślę, że nie było ono uczciwe, bo trafiłem na samego Krescensa, jakby komuś zależało, żeby mnie szybko wykończyć. Możesz sobie

wyobrazić, co czułem, kiedy nasz *magister* wchodził na arenę, a publiczność witała go na stojąco ogłuszającą owacją! Był uzbrojony jak Samnita, w dużą tarczę i zwykły miecz. Podszedł do mnie i burknął: „Przykro mi”, na co tylko wzruszyłem ramionami. A potem natarł na mnie z furią, tyle że ja nie miałem zamiaru czekać, aż zada mi cios, który byłby zapewne pierwszym i ostatnim w naszej walce, lecz nie przejmując się wcale głośnymi gwizdami, rzuciłem się do ucieczki.

Już po chwili dopadł mnie przy wylocie *vivarium*. Rozzłoszczony gonitwą, uniósł miecz, żeby ciąć mnie raz a dobrze, kiedy, w jakimś bezwiednym odruchu, cisnąłem mu w twarz moją tarczę i korzystając z jego krótkotrwałej konfuzji, wywinąłem się w ostatnim momencie spod spadającego ostrza! Aby mu się znowu nie wymknął, zrobił ostry zwrot w miejscu i wziął szeroki zamach, chcąc trafić mnie w plecy. I wówczas zdarzył się cud – zachwiał się!... Może poślizgnął się na czyjejs krwi, nie skrzepłej jeszcze pod cienką warstwą piasku, może na lwim lub tygrysim gównie, dość, że nagle zatrzepotał rękami, potem stracił równowagę i w chwilę później zwałił się na ziemię tak, jak

*... się wali niekiedy wydarta z korzeniem spróchniała
Sosna na Idzie wysokiej lub pośród gór Erymantu!¹²*

W mgnieniu oka, zanim zdołał się podnieść, przygwoździłem go do ziemi całym ciężarem ciała. Choć wszystko odbyło się błyskawicznie, ci z widzów, którzy siedzieli bliżej i dobrze widzieli całe zdarzenie, poczęli szemrać i gwizdać.

Krescens uśmiechnął się kwaśno i rzekł do mnie pojednawczo:

– Złaż ze cud – zachwiał się!... Może poślizgnął się na czyjejs krwi, nie skrzepłej jeszcze pod cienką warstwą piasku, może na lwim lub tygrysim gównie, dość, że nagle zatrzepotał rękami, potem stracił równowagę i w chwilę później zwałił się na ziemię tak, jak

– Niech sobie gwizdzą, mam to w dupie – wystękałem zziąpany. – Ważniejsze są twoje nauki.

I nie czekając ani chwili dłużej, zatopiłem moją *sicę* w jego szyi z taką siłą, że dosłownie przybiłem go do areny.

Bałem się odwrócić i spojrzeć w stronę łoża cesarskiej, wiedziałem bowiem, że jeśli cesarz zauważył, co się naprawdę stało, to za to, co zrobiłem, mógł mnie kazać natychmiast uśmiercić albo rzucić nazajutrz *ad bestias*.¹³ Wsłuchiwałem się z najwyższym napięciem w piekielną wrzawę na widowni, usiłując dociec, czy przeważały w niej gwizdy, czy raczej oklaski. Odwróciłem się dopiero wtedy, kiedy okazało się, że było ich mniej więcej tyle samo. Część publiczności wygrażała mi pięściami, część biła brawo, zaś środkiem areny zbliżał się do mnie mistrz ceremonii w towarzystwie oficera gwardii cesarskiej.

Pierwszy nie wyrzekł ani słowa, za to drugi, wyraźnie wzburzony, wycedził z pogardą:

– Imperator nie wie, jak ci się to udało, więc będziesz walczyć dalej. Ale ja – nie mógł sobie odmówić osobistego komentarza – widziałem wszystko. Obyś zginął w głębi Tartaru, kurewski oszuście!

Ledwie się oddalili, na arenę wkroczył olbrzymi *murmillo*, zbudowany jak sam Herkules. Na głowie, jak wszyscy *murmillo*owie, miał hełm z podobizną ryby i był uzbrojony, na sposób galicki, w długi miecz i dużą czworokątną tarczę, zasłaniającą go niemal w całości. Nie skłonił się przed publicznością, ani nie pozdrowił łoża cesarskiej, tylko

*Ciało potężne obnażył i kości, i tęgie ramiona,
Stając, olbrzym mocarny, na środku piaszczystej areny,¹⁴*

gdzie też za chwilę przykleknął. Trwał na klęczkach przez moment, modląc się zapewne o zwycięstwo, po czym, ponaglany przez widownię, pocałował rybę na swoim hełmie i zaczął powoli zmierzać w moim kierunku. Pewny, że tym razem nie wywinę się śmierci, czekałem na niego bez ruchu.

Już po pierwszej wymianie ciosów przyszło mi jednak na myśl, że być może nie jestem całkiem bez szans. Pomimo swojej imponującej postawy, mój *murmillo* nie umiał bowiem czy też raczej nie chciał – czego wówczas nie byłem w stanie pojąć – walczyć ze mną na serio.

Za każdym razem trafiał wyłącznie w moją tarczę i na dodatek, tuż przed nią, wyhamowywał całą siłą uderzenia, choć i tak po każdym jego ciosie chwiałem się i mdlała mi ręka. Walczyliśmy w ten sposób przez dłuższy czas i ani on nie robił mi większej krzywdy, ani ja nie mogłem go osiągnąć za jego ogromnym puklerzem. Publiczność z wolna brała moją stronę, uznawszy widocznie, że dzielnie opieram się takiemu

kolosowi. Ja jednak coraz bardziej opadałem z sił. Mój przeciwnik zauważył to i nagle, między jednym atakiem a drugim, odezwał się do mnie łamaną łaciną:

– Zabić mnie, brat.

Myslałem, że ze mnie szydzi, więc w odpowiedzi wycharczałem z wściekłością:

– Sam mnie zabij, barbarzyńco! I skończmy z tym wreszcie!

– Nie, ty zabić. Teraz – i jakby zapomniał się w ferworze walki, odsłonił na moment swoją szeroką pierś.

Nie skorzystałem z tego zaproszenia, wietrząc w nim podstęp.

– No, na co czekać, brat? Nie bać się! – zachęcił mnie ponownie i powtórzył manewr z tarczą.

– Ja ci dam brata, półgłówku! – krzyknąłem z furją i w chwilę później, rezygnując z wszelkiej ostrożności, wbiłem mu moją *sicę* prosto w serce.

Tym razem klaskał nawet Kaligula. A kiedy dwaj posepni przewoźnicy dusz ściągali mojego przeciwnika hakiem z areny, ja, obdarowany wieńcem, liściem palmy oraz srebrną tarcą, zszedłem z niej na sztywnych, ale własnych nogach.

Mimo to nie odzyskałem wolności. W pomieszczeniu, gdzie zwycięscy gladiatorzy odpoczywali po walce, oznajmiono mi, iż jest życzeniem cezara, abym dalej bił się za jego zdrowie – tym razem przez dwadzieścia lat – jako żołnierz stacjonującego w Syrii i właśnie uzupełnianego XII legionu *Fulminata*.

– A to łajdak! – oburzyłem się.

– Bez przesady – El Latino machnął ręką. – Bywają więksi. Ale o tym może innym razem, bo teraz chciałbym odpocząć, a potem wyjść na powietrze. Czuję, że za jakiś tydzień będę już mógł wrócić pod Hueskę, więc muszę trochę poćwiczyć.

Po tych słowach odwrócił się do mnie plecami i tak jak tylko on potrafił, zasnął natychmiast kamiennym snem.

Przez następne dni przebywał głównie na wirydarzu, gdzie godzinami fechtował, ciskał włócznią w suchy pień drzewa i polerował do połysku swoją kolczugę. Kiedy o zmierzchu wracał wreszcie do celi, był tak zmordowany, że wciąż odkładał na później dalszy ciąg swej opowieści.

Na szczęście stratę wynagrodziła mi Subh, która odwiedziła mnie pod jego nieobecność z wielkim dzbanem wina.

– Wielkie dzięki! – zawolałem mile zaskoczony tym widokiem. – Mam nadzieję, że to nie jedyny powód twojej wizyty?

Wtedy rozejrzała się dookoła, a potem, po krótkim wahaniu, zamknęła drzwi na haczyk i położyła się obok mnie na pryczy. Następnie objęła mnie ramieniem i znieruchomiała.

– Co ci jest? – zapytałem.

– Wybacz mi tamte słowa w kuchni – powiedziała cicho i miękko jak dawniej.

– Już ich nie pamiętam – zapewniłem ją wzruszony.

– Więc to udowodnij – poprosiła szeptem, po czym wstała z pryczy i zrzuciła z siebie wszystko oprócz zasłony na twarzy.

Wydała mi się jeszcze piękniejsza niż przedtem. Szczególną radość sprawiły mi jej drobne piersi o ciemnych sutkach. Poświęciłem im wiele czasu i starania, a potem zacząłem całować wzdłuż i w szerz „bliźnę” po ranie, jaką zadał jej niecny Rodrigo. Wówczas odwróciła się i rozstawiła zachęcająco uda. Ponieważ musiałem zyskać nieco na czasie, zacząłem ją pieścić ręką. W pewnej chwili, gdy mój palec wnikał w nią głęboko, szepnęła zawstydzona:

– Proszę, bądź delikatny. Jestem jeszcze dziewicą.

Po tych słowach osłupiałem.

– Jak to?! Przecież masz męża.

– Już ci mówiłam, że mój mąż nie miał dla mnie czasu.

Wtedy cofnąłem gwałtownie rękę i oświadczyłem:

– W takim razie to ja muszę cię przeprosić, ale reguły mojego stanu zabraniają mi krzywdzenia wdów, sierot i dziewic.

– Krzywdzenia? – zdumiała się. – O czym ty mówisz?

– Twoje dziewictwo należy do twojego męża. Nic na to nie poradzę.

– Kpisz sobie ze mnie czy jak?! – zapytała gniewnie, po czym, nie czekając na moją odpowiedź, zerwała się z pryczy, uderzyła mnie w twarz i wybiegła półnaga z celi.

Po jej ucieczce długo nie mogłem się uspokoić, w końcu zabrałem się za wino, które przyniosła. Miałem już dobrze w czubie, kiedy wrócił Mamerkus.

Przyjrzał mi się uważnie i zapytał, czy coś się stało.

– Nie – odparłem. – Tak sobie piję, z nudów. I z żalu, że nic mi się w życiu nie udaje. Nie to co tobie, panie.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się się mylisz – stwierdził ze smutkiem i poprosił: – Nalej i mnie, dobrze?

Żaś po wychyleniu dwóch czy trzech kubków, zaproponował:

– Czy chcesz posłuchać dalszego ciągu mojej historii?

– Nawet bardzo.

– A więc dobrze. Przed wyjazdem do Syrii nie pożegnałem się z matką, bo jak się okazało, całkowicie pewna mojej śmierci, przecięła sobie żyły zaraz po powrocie z koszar. Zdążyłem tylko wyprawić jej pogrzeb, a potem, kiedy płynąłem wojskową galerą z Brundisium do Laodycei, wiele rozmyślałem o zawiedzionych nadziejach, jakie we mnie pokładała, i w ogóle o wydarzeniach, które w ciągu kilku tygodni zniszczyły nam obojgu życie. Rozpatrywałem też po wielokroć mój występ na arenie, dziękując bogom za cudowne ocalenie. Szczególnie często wracałem myślą do ostatniej walki, ponieważ nie potrafiłem pojąć zachowania *murmillo*, któremu – co do tego, nie miałem żadnych wątpliwości – najbardziej zawdzięczałem życie. Uwaga jednego z płynących ze mną rekrutów, że mój przeciwnik mógł być wyznawcą nowego przesądu jakiegoś Chrestosa, ukrzyżowanego parę lat wcześniej w Judei za podżeganie do buntu jej mieszkańców, wzmogła jedynie moją ciekawość, zwłaszcza że ów rekrut nie umiał na ten temat powiedzieć nic więcej.

Służba wojskowa w Syrii, do której można by odnieść te słowa Poety:

Tam dopiero ośmielił się nabrać nadziei na przyszłość,

Ufać, że losy okrutne na lepsze się teraz odmienią,¹⁵

nie była zbyt ciężka. W naszym obozie w Raphanaea niedaleko Emesy, gdzie stacjonowały także VI legion *Ferrata* i X *Fretensis*, nikt już nie pamiętał o Partach. Żołnierze, odwykli od wszelkich trudów, dbali bardziej o wygląd niż o dyscyplinę, a niektórzy w ogóle nie mieli broni i pancerzy, nigdy w życiu nie brali udziału w bitwie i przez całe lata nie stali na warcie.

Miałem nadzieję, że służąc na Wschodzie znajdą przynajmniej tamtejsze ludy, lecz pytani przeze mnie o wyznawców Chrestosa, z reguły tylko wzruszali ramionami. Dopiero kiedy trafiłem na weteranów z *Fretensis*, którzy służyli w Judei za Marullusa, a dwóch czy trzech jeszcze za poprzedniego prokuratora, Poncjusza Piłata, zdołałem się wreszcie czegoś dowiedzieć. Ci jednak opowiadali o chrześcijanach same dziwaczne i szpetne rzeczy.

– Niby jakie? – obruszyłem się na te słowa.

– A choćby takie, że wyznawcy Chrystusa za nic mają wszelką religię i nigdy nie bywają w żadnej świątyni. Że śmieją się z ofiar i libacji. Że nie czczą bogów nieśmiertelnych, bo sami uważają się za dzieci Boga i liczą na nieśmiertelność. Że za życia w ogóle nie dbają o życie, troszcząc się o nie dopiero po śmierci. Że choć gardzą bólem, póki go odczuwają, bardzo boją się cierpieć, gdy już będą martwi. Że, jak złodzieje, mają wszystko za wspólną własność, co nie przeszkadza im bynajmniej głosić pogardy dla bogactw. Że podczas swoich sekretnych misteriów, zwanych „uczta miłości”, żywią się ludzkim ciałem i piją ludzką krew, po czym oddają się dzikiej rozpuście, która musi ich niechybnie prowadzić do kazirodztwa, jako że wszyscy oni to bracia i siostry.

– Toż to kompletne bzdury! – zawołałem oburzony.

– Owszem, lecz moi rozmówcy w nie wierzyli, a ja wierzyłem im. Zwłaszcza, że mówili jeszcze o tajemniczości nowej wiary, kryjącej się po katakumbach, o tym, że Bóg chrześcijan, ukrzyżowany przez Rzymian jak zwykły złoczyńca, wolał objawić się na jakimś zadupiu zamiast w stolicy świata, gdzie nasza skłonność do zabobonów zapewniłaby mu od razu rozgłos i wzięcie, i o tym wreszcie, że z jego wyznawców nie ma żadnego pożytku, bo nie służą ani państwu, ani obywatelom, nie krzewią też żadnej solidnej doktryny, nie dbają o piękno wymowy i nie kształcą młodzieży pod względem cielesnym ani umysłowym.

W każdym razie po tym, co usłyszałem od weteranów z „Dziesiątki”, a potem od innych, przestałem interesować się Bogiem chrześcijan i nawet byłem zadowolony, że jednego z tych durniów uśmierciłem własnymi rękoma.

Tymczasem w Rzymie zamordowano Gajusza i tron objął Klaudiusz, lecz w moim życiu nic to nie zmieniło. Raz wcielony do armii i zapomniany przez wszystkich, odbywałem dalej nudną, choć niezbyt

uciaźliwą służbę. Dni, miesiące i lata upływały mi bardziej na pijatykach, grze w kości i rozpuszcie niż na musztrze, robieniu bronią czy na pochodach. Z nudów powróciłem nawet do filozofii. I ani się spostrzegłem, jak w ten sposób minęło jedenaście lub dwanaście lat.

A kiedy wydawało mi się, że nie ciekawego mnie już w życiu nie spotka, ni stąd ni zowąd zostałem przeszyty strzałą Amora. Przyczyniło się do tego objęcie dowództwa wojskowego w Syrii przez Gajusza Kasjusza, który, na ile to w ogóle było możliwe, starał się przywrócić dawną dyscyplinę, zaś pod względem zapobiegliwości i przezorności tak postępował, jak gdyby nieprzyjaciel już stał *ante portas*.¹⁶ Kasjusz promował ludzi wykształconych, co rychło sprawiło, że awansowałem na stopień podoficerski i zostałem przydzielony do kwatremistrzostwa jazdy posiłkowej. To z kolei wiązało się z częstymi wyjazdami do Antardus i Laodycei, gdzie poznałem moją ukochaną.

Makryna była Syryjką, córką hurtownika, u którego zaopatrywaliśmy się w oliwę, zboże, wino i owoce. Jej ojciec, nasz najuczciwszy dostawca, szanował państwowy grosz i nie oszukiwał jak inni na mierze, wadze bądź na jakości towaru sprzedawanego armii. Zawsze rzetelny i sumienny, zbywał go zresztą bardzo tanio, co niektórych mocno dziwiło. Makryna, w zastępstwie nieżyjącej matki, pomagała mu w gospodarstwie, a właściwie prowadziła je za niego, ponieważ ze względu na rozległe interesy w całej Syrii, często przebywał poza domem. Doszliśmy z kolegami do wniosku, że właśnie to musiało być przyczyną, że choć zbliżała się już do trzydziestki i odznaczała się urodą, a zwłaszcza wdziękiem istnej Charyty – miała śniadą cerę, kruczoczarne włosy spływające w ciężkich splotach na ramiona, wielkie ciemne oczy, ocienione długimi rzęsami i zgrabną figurę – wciąż jeszcze nie wyszła za mąż.

Podkochiwaaliśmy się w niej wszyscy, i to nie tylko dla jej urody, ale również dla jej pogodnego, choć poważnego usposobienia, a także dlatego, że ujmowała nas bezpośredniością i dobrocią, z jaką odnosiła się do każdego, nawet do niewolników. Pamiętała imiona wszystkich legionistów przyjeżdżających po towar, każdego wypytywała o zdrowie i o rodzinę, jeśli ją posiadał, zaś podczas przerw w pracy zapraszała nas na przekąskę przy roztawionych w sadzie stołach. Podczas tych posiłków zawsze zadziwiała mnie mieszaniną mądrości, z jaką rozprawiała o dziejach i zwyczajach ojczystego kraju, trudnościach uprawy roli w jego piekielnym klimacie czy osobliwościach syryjskiej przyrody, z dziecięcą wprost naiwnością, z którą wysłuchiwała opowieści moich kompanów o ich zmyślonych przewagach wojennych i rzekomych udrękach życia legionisty.

Jednak największe wrażenie robiła na mnie hojność, z jaką rozdawała codziennie ogromne ilości jedzenia, a nawet pieniądze, tłumom ubogich, żebraków, kalek i innych nieszczęśników, ściągających od świtu do nocy z całej okolicy pod portyk jej domu. Początkowo nie próbowałem dowieść powodu tej szczodrości, ale kiedy spostrzegłem, że mnie obdarza jakąś szczególną atencją, że wita mnie i żegna serdeczniej niż innych, że wsłuchuje się z uwagą w każde moje słowo i troszczy się zawsze o to, abym miał przed sobą pełny półmisek i dobrze napełniony puchar, po jednym z owych posiłków w sadzie, kiedy moi żołnierze wrócili do pracy, zagadnąłem ją, dlaczego czyni to, co czyni.

Spojrzała na mnie uważnie, jakby chciała wybać moje intencje, a potem rzekła:

– Dlatego, że wszyscy ludzie są braćmi, a cokolwiek czynimy najmniejszemu z nich, samemu Bogu czynimy. Zresztą, póki co, mamy się czym dzielić, zwłaszcza, że udało mi się odwieść ojca od pomysłu, żeby sprzedać wszystko i całe uzyskane w ten sposób pieniądze rozdać ubogim. Sami nie mamy wielkich potrzeb.

– Wszyscy ludzie są braćmi? Zbyt piękne, żeby było prawdziwe – roześmiałem się. – Ale brzmi ładnie.

– Więc może kiedyś w to uwierzysz. Jako poecie, powinno ci to przyjść łatwiej niż innym.

– Poecie?! – zdumiałem się. – A któż ci powiedział coś takiego?

– Jeden z twoich żołnierzy. Chętnie posłuchałabym kogoś z twoich wierszy.

– Nie pamiętam żadnego – zacerwieniłem się.

– Niemożliwe. Proszę! – ujęła mnie za rękę.

Nie mając innego wyjścia, nabrałem powietrza w płuca i wyrecytowałem:

Któż by sprostał tobie, o, życie, gdyby nie śmierć? Niezliczone twoje niedole – ciężko je dźwigać i umknąć im trudno.

Rzeczy, które z natury są piękne – te są dobre: ziemia, morze, gwiazdy, światło księżycy, blask słońca.

*A poza nimi – tylko truoga i ból. Jeśli dasz nam chwilę radości, zaraz płacić za nią trzeba cierpieniem.*¹⁷